

Chłopcy z zapalkami

Anna Nasiłowska

Przechadzki

Anna Nasilowska

Chłopcy z zapalkami

„Czy bawiłaś się w przedszkolu w Warszawie?” — pyta Piotr. Nie, Warszawę? Pamiętam, że strzelaliśmy do siebie z klocków, terkocząc przy tym jak karabiny maszynowe, ja zawsze z chłopakami, bo ciekawiej, chyba jednak nie brałam nikogo na muszkę, nie pociągałam za spust, byłam łączniczką albo sanitariuszką.

Nie wiesz, jak się bawi w Warszawie? To proste, bierze się pudełko zapalek, zapalasz jedną albo kilka i wsadzasz z powrotem do pudełka, wtedy pali się fajnie. I to jest Warszawa.

Biorę pudełko, zapalam zapalną, zamykam płonąca, z początku biała i wąska smużka dymu, potem gaśnie. Tylko pajacyk na pudełku ma osmolony kapeluszek i rozkłada bezradnie ręce w śmiesznym geście, bo przecież powinien pobiec na ratunek, a on ciągle się kłania z uśmiechem. Za drugim razem wychodzi lepiej, dym większy, ogień żywszy i pajaca zostało tylko pół. A najważniejsza sprawa: wybuchy zapalek w pudełku. To eksplodują miny, trafiają pociski zapalające i to jest właśnie Warszawa. To jest huk, uwolniona energia. Trzeciej próby nie będzie, choć zostało jeszcze trochę nienaruszonych zapalek. Warszawa powinna spłonąć od razu, coś nie tak w tej zabawie, ogień za bardzo gaśnie, może pudełko nie takie. W środku spalone zapalniczki skręciły się, jakby w męce, w bólu, choć bez krzyku. Jak spalone ciała — myślę i boję się tej myśli, szybko zamykam pudełko, małą trumienkę. Może to jest właśnie sens

tej zabawy: nagły strach, zawstydzienie, tajemnica. Może nawet powinno się o niej zapomnieć dorastając, umieścić ją wśród strachów dzieciństwa, koszmarów ciemnego pokoju. Tylko że to wraca, zawsze kiedyś przesączy się. Nasze myśli podkopane ciemnymi tunelami, wyobrażeniem strachu.

Nie pamiętam już, w co my bawiliśmy się na podwórku. Było takie miejsce, gdzie kruszyliśmy cementową płytę, łupaliśmy z całej siły, ciągnęliśmy za metalowe obręcze. Udało nam się obłupać aż do metalowego zbrojenia, nie pamiętam, co było potem, bo przerwałam pracę, dorosłam i już. To był włącz do schronu. Domy były z lat pięćdziesiątych, wtedy jeszcze budowano takie schrony w domach na wypadek wojny. Wejście było w piwnicy, za pancernymi drzwiami z napisem, a wyjście — właśnie pod tą płytą, kilkadziesiąt kroków od domu. Tam w środku, pod ziemią był więc tunel, na wypadek gdyby dom się zawalił. Bardzo to podniecało. Chcieliśmy dostać się do podziemnego tunelu, zobaczyć, co tam jest, pobycć sami w środku, tylko dzieci. Nawet już nie pamiętam jakie, rzadko puszczano mnie samą, ale napewno było nas kilkoro. Tylko jedna migawka — twarz dziewczynki ze skośnymi oczami, chyba musiała mieć Downa, mówiło się, że jest głupia i nazywano ją: Wietnamka. Można było jej wszystko kazać, nie buntowała się. Wszystko by zrobiła, żeby zasłużyć na moment zainteresowania czy nawet podziwu. Jadła piasek i uśmiechała się. Kiedyś kazali jej w piaskownicy zjeść dżdżownicę, znaczy, jak mówiliśmy wtedy — glizdę. Zjadła.

Niedawno sprawdziłam, że jest jeszcze ta płyta, chyba już druga, bo sterczy wyżej nad ziemią, ale musiało nad nią pracować następne pokolenie, bo tak samo pokruszona. Tylko w okolicy mało już jest dzieci, dzielnica zestarzała się i przeszła na emeryturę, dlatego nikt nie kontynuował naszego dzieła, wysypywano tam jedzenie dla gołębi. Kręciło się ich mnóstwo.

„Śnią ci się Niemcy?” — pyta Piotr. Urodziliśmy się oboje długo po wojnie, nawet po tej zimnej wojnie, ale przecież dobrze rozumiem pytanie. No, bo się śnią. Jak każdemu z nam podobnych, Niemcy nie Niemcy, jacyś w mundurach i ten strach, nie można krzyczeć, może w ustach gips albo strach paraliżuje. Może to przez filmy. A może wszystko razem: filmy z kapitanem Kłosem, „Czterej pancerni i pies”, zabawy w wojnę i coś jeszcze, jakieś niewidzialne promieniowanie tego miejsca, w którym to wszystko działo się naprawdę, tyle że w innym czasie, ale przecież — tu. Pojedyncze stare domy — jeszcze ze śladami

ostrzału, jacyś ludzie, o których się mówi, ale ich nie ma. Zginął, zginęła. Nie, to nie uraz narodowy, tylko strach.

Teraz nie buduje się już domów ze schronami. One są z płyt, czyli z wielkiej płyty i jeśli czasem można się bać, to tego, że się złożą jak karty, jak namioty. Pozostanie sucha równina porośnięta rzadką, wygniecioną trawą i mnóstwo śmieci. Pamiętam to uczucie, gdy składaliśmy obóz harcerski. Już po złożeniu namiotów, po uprzątnięciu, rozglądałam się dookoła nie poznając miejsca. Jakaś polana, wygniecione poszycie, trochę żółkniętej trawy, piach. Już nic mnie nie łączyło z tym miejscem, a przecież przez trzy tygodnie to był dom.

Teraz mieszkam w czymś takim na stałe, jeśli to w ogóle jest możliwe by na stałe mieszkać na lotnym piasku. Osiedle sprawia wrażenie pospiesznie rozłożonego obozowiska kwadratowych namiotów. Pewnego dnia puszcza niewidzialne sznury i nasze namioty znikną, bo nie mają korzeni. Ale może to i dobrze, bo przecież tamto miasto, tkwiące w ziemi, jest przekłete, zakażone. Gdy chodzę po dzielnicy północnej, dawnych terenach getta, czuję jakby ktoś szedł za mną cicho. Na moment tak krótki, że nie mogę go rozpoznać, zagląda mi w twarz, widzę tylko ciemny cień głowy przechylający się przez moje ramię, i cofa się zaraz, spłoszony, a może to ja uciekam, to ja go płoszę, bo przecież słychać jak mi strasznie bije żywe serce.

Jakie są dzieci ziemi niczyjej? Rodzą się przecież jakby w próżni, w sterylnej wacie, hodowane sztucznie, z labiryntów i przesmyków wśród królestwa środków antykoncepcyjnych, daleko od tej przekłetej przestrzeni, od ziemi i krwi. Całe osiedle to miała być gigantyczna i cudowna hodowla dzieci socjalistycznej ojczyzny, która ich nie oczekiwała. Błąkają się wśród bloków, zabiegają z piskiem drogę przechodniom, całe watahy, wyż stanu wojennego, którego nie mogą pomieścić przedszkola i szkoły.

Dzwonek do drzwi. W wizjerze pustka, biała przestrzeń sztucznie oddalona soczewką i szare drzwi naprzeciw. Ale na progu ktoś stoi. To mała Ewka z góry z pytaniem o moją córkę:

„Wyjdzie?” „Jak zje obiad” — odpowiadam. „A co dziś macie? Bo u nas była pomidorowa z kluskami i gołąbki na drugie,” „Takie fruwające?” — pytam, a w oczach Ewki widzę tę samą białą przestrzeń, co wcześniej w wizjerze. Spłoszyłam dziecko. Tak łatwo je spłoszyć. Jak ptaki, których zresztą tu mało, bo wśród kwadratowych namiotów nie mają gdzie zakładać gniazd.

Potem biegają całym stadem po podwórku, rozświergotani. Chmara raz rozsypuje się, raz zbija, okrąża blok i na długie chwile znika mi z oczu. Znajduję ich dopiero pod wieczór, zaniepokojona nagłą ciszą. Są wszyscy pod niskim balkonem, bardzo brudni w sypkim piachu, do którego nigdy nie dociera deszcz. Zwykle leży tu trochę śmieci, jakaś zeszlóroczna choinka bez igieł, resztki lekarstw wyciągnięte ze śmietnika. Za nisko, żeby mógł wygodnie wejść dorosły, ale dzieci mieszczą się. Siedzą kołem, jest mały Piotrek, brat Ewki, i nawet Jacek, którego nie lubią, bo ma dużą głowę i mówi czasem od rzeczy. W środku stoi świeca i jakieś małe kopczyki usypane z piachu. Milkną, gdy się zbliżam.

„To pogrzeb wróbla” — mówi Ewka i widzę, że się mnie boją, bo jestem dorosła. Na każdym z kopczyków stoi zatknięty malutki krzyż powiązany z patyczków, świeca płonie, a mnie się chce krzyczeć. Dzieci, co wy robicie, znów to przekleństwo, płytkie groby na podwórku, cmentarze wśród domów. Warszawa sięgnęła aż tu. Ale nie mówię nic, zgarniam towarzystwo do domu, wychodzą spod balkonu nie patrząc mi w oczy. I ja też nie patrzę. Wstyd i tajemnica osłania obrzęd inicjacji. Szyfry, skrytki, ciemne tunele, zasłonięte przed oczyma dorosłych.